NUMER 8. DNIA 22-go LUTEGO 1903 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Gustaw Zieliński

(Poezje G. Z., 2 tomy z życiorysem poety przez D-ra P. Chmielowskiego.)

Gustaw Zieliński słynie głównie jako autor „Kirgiza". Utwór ten (wydany po raz pierwszy w Wilnie r. 1842) zdobył sobie odrazu niezmierną popularność i w bardzo licznych edycjach był przedrukowany. Chociaż bowiem Gustaw Zieliński wydał jeszcze kilka zbiorów lirycznych, to jednak żadna z jego pieśni nie sięga tych wyżyn natchnienia, jakie dostrzegamy w Kirgizie. Z tego powodu błądziły w świecie literackim pogłoski, uwłaczające pamięci poety, jakoby nie on, lecz kto inny był autorem Kirgiza, jakoby więc on podpisał się pod cudzem dziełem. Przypuszczenia tego rodzaju były nawet ogłoszone drukiem wkrótce po śmierci Gustawa Zielińskiego (1881). Bardzo też szczęśliwie się stało, że rodzina poety wydała całkowity zbiór jego poezji, obejmujący dwa tomy, z bardzo sumienną przedmową prof. Piotra Chmielowskiego. Rzecz ta wyszła w Toruniu w końcu r. 1901 — i zawiera, prócz studjum Chmielowskiego (str. 200 z górą) — w tomie I. — utwory liryczne, w tomie II. — poezje opisowe i opowiadające (Jan z Kępy, Giermek, Samobójca, Stepy, Kirgiz, Koń Beduina, Antar, Pokusy; a nadto dramat Twardowski).

Nie weszły do zbioru dramat z lat młodzieńczych p. t. „Zbigniew", oraz powieść „Manuela".

Wydawnictwo to rozprasza nam wszystkie fałszywe pogłoski o zmarłym poecie: świadczy bowiem, że rozwój jego był zupełnie logiczny i prawidłowy — i że zjawienie się „Kirgiza" przygotowywało się długo w jego duszy, a szczególne warunki życia musiały go wywołać.

Rzeczywiście bliżej się wczytawszy w jego liryki i poezje opisowe, nie znajdziemy w ich ewolucji takich odskoków, co czyniłyby problematycznym Kirgiza: pokrewieństwo typu twórczego trwa wszędzie. Trzeba dodać, że i niektóre jego wiersze liryczne również zyskały popularność, n. p. Sztuki Piękne, Przemiany (Przemarzyłem lat nie mało...), Mazurek (Jakoś się przypadkiem okno otworzyło...), Gwiazda, Powrót wiosny (Słońce się z mglistych otrząsa chmur...) i inne. Nie liryka jednak, lecz opowiadanie i opis (najrzadszy dziś dar u poetów) stanowiły siłę talentu Zielińskiego.

Wpływy Byrona, Mickiewicza, Goszczyńskiego, Walterscotta — mięszały się u niego — i zlewały powoli w jeden ton, który najsilniej objawił się w Kirgizie.

Kirgiz — to poemat, będący w dalekiem pokrewieństwie z egzotycznym światem Mnichów, Arabów, Giaurów, Lambrów i Korsarzy; ale autor jest realistą i to, co n. p. Słowacki opisywał z fantazji, on widział naocznie. Kilkuletni jego pobyt na Syberji (1834 do 1842) — dał mu poznać te krainy dziewicze stepów kirgi-

skich — gdzie natura i człowiek w pierwotnym żyją stanie.

Miał więc owe świeże wrażenia, których Europa nie może dać poecie; Byron n. p. uciekał od ludzi, aby zdobyć samotność; on przeciwnie miał jej aż za wiele. Z tego powodu bohater „Kirgiza“ nie ma tej bajroniczności, jaką znajdujemy n. p. w Mnichu lub Arabie. Owszem — jest to człowiek pierwotny, świeży, zdrowy pragnący jeno swobody: „gdzie powietrza, gdzie stepów dowoli“.

Bądź jak bądź widzimy tu, jak się poemat Zielińskiego wiąże z tradycją pieśni polskiej; ale wiążąc się z przeszłością, zarazem jednak „Kirgiz“ jest zapowiedzią nowego tonu tej poezji.

Zieliński zapoczątkował ton, który, będąc z natury swej egzotyczny, w istocie dyszy pełnią realizmu. Możnaby ów ton nazwać szkołą Syberyjską poezji polskiej. To połączenie egzotyzmu z rzeczywistością ma taką odrębność, że ilekroć się powtórzy w literaturze — zawsze wywołuje silne wrażenie, jak to widzieliśmy za naszych czasów na dziełach Adama Szymańskiego, Wacława Sieroszewskiego i in.

Jak to już wyżej wzmiankowaliśmy — najsilniejszą stroną talentu Zielińskiego był opis. To też jego opisy stepów w ogóle, zawieruchy na stepie, pożaru na stepie i t. d. — stanowią arcydzieła w swoim rodzaju. A choć Teofil Januszkiewicz zarzuca mu niedokładność opisu, idealizację, upiększenie stepów, które są podług T. J. — skalistą, spaloną pustynią — to jednak poeta mógł widzieć co innego.

O, bo w pustyni wszystko niepłodne,
Prócz może jednych marzeń poety!

Podobno Aleksander Humboldt, który w przekładzie niemieckim czytał opisy stepów G. Zielińskiego — podziwiał ich prawdę i życie.

Tam, gdzie Zieliński nie miał podkładu rzeczywistości, — nie był tak pewny siebie i szwankował pod względem twórczym. Tak np. w rozumowaniach był nieumiejętny, jak to widzimy w poemacie „Samobójca“ lub w drugim „Góry“ (część II. Stepów), gdzie niby to indyjską biblję swemi słowy niezupełnie zręcznie wypowiada. Rzecz to nawet dziwna, ile że Gustaw Zieliński miał umysł zdolny do abstrakcji, jak to widać z niektórych jego listów, przez prof. Chmielowskiego przytoczonych w życiorysie poety. Na str. 120 podany interesujący list do Zygmunta Komarnickiego o filozofji niemieckiej, a dalej o literaturze: daru metafizyki zatem mu nie brakło, lecz nie znalazł formy dla wyrażenia go w rytmie poetyckim. Wzmianka o tej korespondencji pozwoli nam przejść do biografji poety.

G. Zieliński urodził się na Kujawach w roku 1809; do szkół chodził w Płocku. Młody Gustaw już w szkole odznaczył się w kunszcie rymotwórczym, o czem świadczy mowa rektora (Morikoniego) na popisie 1827 r. W tym to roku skończył G. Z. szkołę wojewódzką i wstąpił na wydział prawny w uniw. Warszawskim, gdzie wykładali podówczas J. W. Bandtkie, W. A. Maciejowski, R Hube, Fr. hr. Skarbek, ks. Fr. Szaniawski i in. — Jednocześnie też zaznajomił się G. Z. z ówczesnym ruchem literackim; był to sam ogień walki romantyków i klasyków. Oczywiście Zieliński stanął po stronie nowatorów, ale — zdaje się — sam pisał niewiele. Uczył się dobrze, a po ukończeniu szkoły wstąpił do artylerji i przyjmował udział w rewolucji 1831 r. Jednakże po upadku ruchu rząd ros. go nie prześladował — i dopiero nowy udział w partyzantce Zaliwskiego (1833) spowodował jego zesłanie na Sybir.

Tu dopiero zaczął tworzyć. Naprzód mianowicie w r. 1835 wykończył swój młodociany dramat „Zbigniew“, a potem przeszedł do innych motywów historycznych; wkrótce jednak przerzucił się do malowidła tych środowisk, które miał dokoła siebie — t. j. do wrażeń stepowych.

Jednocześnie prowadził obszerną korespondencję z rodziną i z niektórymi kolegami, jak Januszewiczem, Orpiszewskim, Z. Komarnickim i in. Oprócz spraw osobistych — listy Zielińskiego zawierają wiele szczegółów opisowych, geograficzno-etnograficznych, a nadto refleksje moralne, filozoficzne, literackie i t. d. Choć z trudem, widać jednak, że Zieliński śledził ruch literacki i wiele trafnych zdań wypowiada np. o Kraszewskim, o Fredrze, o Michale Grabowskim, o pisarzach francuzkich i niemieckich. Czytał stale „Tygodnik Petersburski“ Przecławskiego, oraz „Journal de Francfort“. Z korespondencji jego bardzo umiejętnie skorzystał prof. Piotr Chmielowski, wprowadzając ją dla charakterystyki poety. Zwłaszcza godne uwagi są te listy, w których autor opisuje stepy Kirgizów i ich obyczaje, gdyż odnajdujemy tu materjał, który niejako sam ukła-

dał się poecie w jego epos „o dzikich nutach pieśni kirgiskiej, melancholijnej jak te płaszczyzny“.

Szkoda tylko, że p. Chmielowski — o ile można było — nie oznaczył każdego z większych poematów datą jego narodzin. W biografji są pod tym względem wzmianki: zdaje mi się jednak właściwszem, aby czytelnik miał datę zaraz pod utworem. Bądź jak bądź autor naprzemian już to maluje swoje stepy, już nostalgicznie przerzuca się do kraju, malując przeważnie swoje okolice płockie. — Do tego szeregu należą dwa poematy w stylu Walterscotta: „Jan z Kępy“, oraz „Giermek“; wiersz gładki, forma zręczna, ale fantazja, zwłaszcza w pierwszym poemaciku, barokowa; oba zresztą te utwory są to epizody urwanych i niedokończonych poematów. Rzecz p. t. „Stepy“ składa się z czterech luźno powiązanych części: I. „Stepy“, o czem mówiliśmy; utwór znany i do dziś ulubiony, zapowiedź Kirgiza; II. „Góry“ — mistyczna, poroniona parafraza mądrości indyjskiej; III. „Bajga“ — opis z życia kirgizów; zebranie doroczne plemion podległych berłu chana Kodara, w celu wyboru koczowisk na rok następny; przy czem igrzyska i pieśni, których treść podaje część IV. — „Spiew“.

Z motywów wschodnich, ale już bardziej książkowo, ułożył jeszcze Zieliński poemacik: „Koń Beduina“, oraz rytmiczną prozą nowelę „Antar“; nadto „Pokusy“. O „Kirgizie“ już tu mówić nie będziemy. Parę słów tylko poświęcimy dwom jeszcze utworom. W „Samobójcy“ (1865) autor dotyka różnych kwestji etycznych, psychicznych i społecznych; widać jednak, że się napróżno boryka, chcąc wtłoczyć myśl abstrakcyjną w ramy wiersza. Również zdaje mi się niefortunnym dramat o Twardowskim. Jak wszyscy niemal, którzy u nas temat ten podejmowali, znalazł się Zieliński pomiędzy dwoma wpływami, których niepodobna zcementować: z jednej strony jowialna legenda polska o Twardowskim, o cyrografie i o tej karczmie, co się nazywa Rzym; z drugiej filozoficzny dramat Goethego o Fauście. Dlatego też nic nie stworzył; i zdaje mi się, że dopóki u nas pisarze nie wyzwolą się z pod tych obu wpływów, aby całkiem inną i odrębną rzecz wysnuć z historji o Twardowskim, dopóty przedmiot ten należy uważać za nieobrobiony w literaturze. Pod tym względem szczęśliwszy był Czech J. Vrchlicky, choć ten znowu sfałszował dzieje, kulturę i obyczaje polskie. Zieliński mechanicznie przechodzi od jowialnej legendy do Fausta Goethego.

Tak się przedstawia twórczość poetycka Zielińskiego. Była ona nierówna, szła okresami i mamy całe lata w życiu autora Kirgiza, w których innemi sprawami zajęty, oderwany był od literatury. Po powrocie do kraju zagospodarował się w Skępem — i oddał się pracy społecznej. Zajmował od r. 1850 różne godności w Towarz. Kred. Płockiem, a w r. 1858 został człon. Tow. Rolniczego, wreszcie w 1862 r. mianowany był prezesem rady powiatowej lipnoskiej. On też w r. 1858 wespół z Kleniewskim i Jackowskim założył t. zw. Dom zleceń rolników płockich, ale instytucja ta w r. 1865 została zlikwidowaną. Prócz spraw gospodarczych od czasu do czasu pisywał już to liryki, już większe poematy; wreszcie pracował nad kilku dziełami historycznemi (O zakonie dobrzyńskim, O ziemi dobrzyńskiej, O rodzie Świnków-Zielińskich).

Jako człowiek i obywatel odznaczał się wielkiemi cnotami. Stanowisko literackie Z. określiliśmy wyżej. Zakończę słowami p. Chmielowskiego, który mówi, że Z. „poruszywszy w tworach swoich takie strony, jakich inni poeci nasi nie dotykali, wystawiwszy krajobrazy i charaktery z krajów dalekich — i, zrobiwszy to w sposób... czasami prawdziwie świetny, ma prawo do zaszczytnego wspomnienia w dziejach poezji naszej.

A. Lange.

IGNACY DĄBROWSKI.

OKRĘT ZADŻUMIONY.

Po wązkich, wykutych w skale schodach schodzę na dół, na sam brzeg.

Mój Giuseppe i łódź „Giovannina“ już czekają od kwadransa. Morze jest spokojne, zlekka zmarszczone i, jak zawsze, szemrzące. Tylko przy sennym brzegu powoli, leniwie podpływają fale, zaleją porozrzucane wszędzie kamienie, i cofają się dyskretnie, żeby za chwilę zrobić toż samo. „Giovannina“, uwiązana na sznurku, podbijana falami, skacze i pląsa, jakby rada, że pojedzie.

Siadamy wesoło, śmiejąc się, że nie możemy na razie znaleźć równowagi: łódź się chyboce, jakby naumyślnie z wielkiej uciechy. Słońce zagląda przez wodę na dno i oświetla każdy kamień, każdą muszlę. Prostujemy nogi, jak trzeba do wiosłowania i odbijamy.

— Dokąd jechać? Na lewo, na prawo, czy prosto przed siebie na zatokę?

— Jedziemy na prawo.

Skała, na której są rozrzucone tuż obok siebie Sorrento. Piano i Meta, wznosi się prostopadle z morza na kilkadziesiąt metrów wysoko i tworzy fantastyczne urwiska, podziurawione ciemnemi grotami i festonami caprifoljum, lub gdzieniegdzie w szparach skał szaremi oliwkami. Wysoko w górze, w cieniu pinji i tychże oliwek, patrzą na morze poważne hotele i zalotne wille.

Co pewną przestrzeń w jednolitej ścianie skały spotykamy wąskie, głębokie pęknięcia, wąwozy, do których dna słońce nigdy nie zagląda. Niektóre z nich są zalane morzem, więc ostrożnie manewrując wiosłami, wjeżdżamy w mrok i chłód.

Mój Giuseppe, który ma tę nieocenioną zaletę, że z niejakiem powodzeniem udaje, iż mówi po francusku, objaśnia mię, że w tych wąwozach mieszkają szpetne karły, które lubią psocić. Na razie boję się tylko jednej psoty: połupane ściany skał są tak strome, że bardzo łatwo jakiś głaz może człowiekowi spaść na głowę. Białe mewy z czemś czarnem na dzióbie, czy na ogonie, uwijają się po szparach.

Wyjeżdżamy dalej, wzdłuż brzegu.

Zatoka jest tak spokojna, że aż irytuje. Nie po to się jeździ po morzu, żeby mieć wrażenie stawu! Za to ma się urazę do wszystkich malarzów świata. Dlaczego na obrazach malują zawsze wodę, kiedy to nie woda, tylko najczystsza ultramaryna!

Z kolei wjeżdżamy do wielkiej groty, która również z niezłym skutkiem udaje przesłynną Caprijską gretta azzurra.

Wpływamy tam jak w otchłań, robiąc liczne zakręty. Jest ciemno, jak w kałamarzu. Wiosła leżą odłożone, kierujemy się omackiem, stojąc w łodzi i odpychając się rękoma od chropowatych skał. Koło nas coś huczy, z głębi groty dochodzi przeciągłe warczenie i trzask.

Wreszcie oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Jeszcze jeden zakręt i wpływamy na szerszą przestrzeń.

Coś się widać przekręciło w naturze, bo niebo, blask mamy pod sobą. Łódź kołysze się na falach przemodrego światła, jak na wodzie. Sine, martwe odblaski padają nam od dołu na ręce i twarze i wyglądamy, jak fantastyczne duchy na obrazach Boecklina. Pomimo dochodzącego skądś z głębi groty huku, ma się wrażenie ciszy, zaświatowości.

I nie chce się już ani podziwiać, ani zachwycać się: martwe światło zdaje się przenikać ubranie, ciało, kości na wskróś — i wydajemy się sobie własnymi cieniami. Tak chyba będzie na tamtym świecie...

Giuseppe zarzuca trykot i skacze do wody. Ciało jego przybiera kolor srebrny, trupi, przytem wydaje się równie przenikliwe i nieuchwytne, jak woda: możnaby przysiądz, że wiosło przeniknie je bez oporu na wylot. Zresztą i wiosło jest tylko swoim własnym cieniem.

W końcu ogarnia rodzaj zawrotu głowy: kołysanie się wody sprawia wrażenie usuwania się jej w dół, a my równo, prosto, łagodnie, jak windą, zapadamy się gdzieś w głąb, w bezdenną otchłań.

Ale dość nam już grot, skał, wąwozów. Płyniemy na morze, na szerokie morze...

Wiosłujemy z całych sił, wesoło, radzi, żeśmy się wyrwali z mistycznych zaświatów. Bo wszystko to jest dobre, ale zawsze najpiękniejsze

jest to stare słońce, które nam teraz przypieka plecy i maluje wodę. Płyniemy szybko, skały Sorrento uciekają przed nami i jakby zasuwają się w wodę.

— Tak się wiosłuje po angielsku — powiada Giusseppe.

I, siedząc wyprostowany, jak na mustrze, wyciąga ręce równo przed siebie, unosi je nieco w górę i, zaczepiwszy końcem wioseł o wodę, energicznym, sprężystym ruchem ściąga pięści pod brzuch. Wiosła, jak zwinięte skrzydła, sterczą swojemi pletwami po obu stronach łodzi, nakształt wielkich szczypiec.

„Giovanina", jakby puszczona z procy, przelatuje pędem przez fale, ślizgając się po wierzchu.

Dłuższa chwila przerwy — i znowu końce wioseł, rozmachnięte szeroko, zataczają w tył półkręgi i wrzynają się w wodę. Giuseppe wiosłuje równo, rytmicznie, jak dobrze nasmarowana maszyna angielska. Żylaste jego ramiona nabrzmiewają węzłami muskułów, trykot jak gutaperka odbija drgnięcie każdego mięśnia.

Lecimy przez morze jak strzała. „Giovannina" zmieniła się w chybką jaskółkę i ledwie dotyka piersiami fal. A morze! takie wielkie, szerokie morze!

— *E cosi si rema in Venezia* — objaśnia znowu Giuseppe.

I, stanąwszy znowu na końcu łodzi, lekko, od niechcenia pluska wiosłem o wodę, jakby się bawił. Nie mogę się dość napatrzeć na mego Giuseppe. Piękny, czarnokędziorny, jakby powiedział Homer, o orlim nosie, w obcisłym trykocie, stoi i odpycha wodę w tył tak, że się wprost prosi o rzeźbę. Wysunięta w tył noga, kołysanie się całej figury, przegięcie głowy, każdy ruch jest kokietującym wdziękiem. Raz po raz, nachylając swe pyszne ciało, nalega piersią na rękojeść wiosła, ocierając się o nią niemal lubieżnie. Już po chwili ciało, jak miękki fiszbin, odskakuje wstecz, wygina się, wolnieje i ruchem zwinnej pantery gotuje do nowego skoku.

„Giovannina", jakby zwolniona ze sprężystej smyczy, tańczy sobie po zwałach wód, jak jej się podoba. Płyniemy wprawdzie w wytkniętym kierunku, ale ani jej, ani nam się nie śpieszy. Na prawo, na lewo takie powabne, takie miękkie fale! Jakże im nie dać odpłynąć, popieścić się z ich piersią! Oto nadbiega jedna... Świeżo zrodzona z topieli, bardzo modra, przeźrocza, buja po głębinie, przeglądając się słońcu. Nie sposób ominąć. I rozswawoloua „Giovannina"; cała w pląsach, przeskakuje przez jej zróżowiony grzbiet, jak kociak przez piłkę.

Jesteśmy już daleko na pełnem morzu. Góry Sorrento zasnuła siń powietrzna, na krańcach majaczeją Wezuwiusz, Neapol i wyspy. Dookoła olbrzymia przestrzeń wody, nad nią kopuła nieba.

(C. d. n.)

„KOSMOS"

Od lat dwudziestu siedmiu wychodzi we Lwowie miesięcznik, ozdobiony na okładce podobizną Kopernika — „Kosmos". Utrzymuje go przy życiu szczupła garstka ludzi dobrej woli, przyrodników, którzy, bez względu na zajęcia zawodowe, potrafią znaleźć czas i siły na prowadzenie dzieła, niezbędnego i pożytecznego dla społeczeństwa. Ciągle brzmią dokoła skargi na ubóstwo naszej literatury naukowej; zestawiona przez jedno z pism statystyka naszego dorobku umysłowego za rok ubiegły dała powód całej prasie do zajecia się tą sprawą; tym donioślejszym staje się przeto wszelki objaw ruchu naukowego, tem większą jest zasługa „Kosmosu", który przez lat 27, bez względu na trudności materjalne i zupełny brak poparcia ze strony społeczeństwa, umiejącego ubolewać nad brakami, lecz do zaradzenia im nie mającego energji, gromadził dokoła siebie zastęp pracowników naukowych i dawał im możność podzielenia się wynikami swych badań. Wydawnictw perjodycznych przyrodniczych jest tak mało, że wyliczyć je mo-

żna na palcach jednej ręki, i te jedne są czysto specjalne, do innych znowu dostęp jest z konieczności utrudniony, tak iż częstokroć badacze po prostu nie mają gdzie wydrukować po polsku wyników swej pracy. ,,Kosmos“ w miarę możności, a nawet nad możność, zaradzał temu brakowi. Dwadzieścia pięć pierwszych tomów ,,Kosmosu“ zawiera 516 rozpraw naukowych. 1499 sprawozdań, 454 różnych wiadomości naukowych, — ogrom pracy, pracy ważnej i doniosłej. Od początku swego istnienia ,,Kosmos“ stawiał na pierwszym planie fizjografję ziem polskich, poznanie zamieszkiwanego przez nas szmatu ziemi, który kochamy — ale platonicznie, bo do bliższego poznania go niezbyt silnie dążymy. 177 różnych rozpraw, dotyczących fizjografji kraju, przyniosły roczniki ,,Kosmosu“, zawierają one przeto materjał, z którym każdemu liczyć się należy, i z którego obfitością żadne chyba wydawnictwo polskie mierzyć się nie może.

W rok 1902 „Kosmos“ dążył dalej wytrwale po obranej a owocnej drodze, i dwudziesty siódmy jego rocznik również obfituje w doniosłe prace naukowe. Niepodobna wyliczać wszystkich rozpraw, sprawozdań i wiadomości, w zeszytach „Kosmosu“ zawartych; ograniczamy się do zaznaczenia najważniejszych. Przedewszystkiem iście benedyktyńska praca prof. Eug. Romera, nieskończenie ważna i pożyteczna dla każdego, kogo poznanie kraju interesuje: — „Spis prac, odnoszących się do fizjografji ziem polskich za lata 1899 i 1900“; mozolną tę pracę prof. Romer prowadzi od lat kilku. Dalej zaznaczyć należy tegoż autora sprawozdawczy i krytyczny artykuł z wielkiego dzieła niemieckiego o Wiśle (Memel, Pregel und Weichselstrom), wydanego przez Kellera, rozprawę Antoniego Rehmana: „Czem są limany i w jaki sposób powstały“, liczne rozprawy pomniejsze pp. Jarosława Łomnickiego, Tadeusza Wiśniowskiego, Wacława Laski i innych, wreszcie liczne sprawozdania z dzieł i artykułów polskich i obcych, przedewszystkiem dotyczących fizjografji naszego kraju.

Losy „Kosmosu“ są wymownym dowodem jaka przepaść dzieli u nas czyn od słowa; powszechnie uznaną jest potrzeba wydawnictw naukowych, powszechnemi są utyskiwania nad ich brakiem; zdawałoby się, że te, co istnieją, winny by się cieszyć tym większem poparciem, iż z konieczności w jedną tylko zwracać się ono może stronę. To wynika ze słów naszych; czyny mówią co innego. Zupełna obojętność ze strony społeczeństwa jest jedyną odpowiedzią na wszelkie starania i mozoły o podniesienie naszej kultury, o wytworzenie naszej nauki, o poznanie naszego kraju i jeżeli co u nas się robi, to nie wraz z ogółem, lecz po za nim, a czasami wbrew niemu. „Kosmos“ jest organem Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika i jedynym poważnym miesięcznikiem przyrodniczym u nas. Należałoby przeto oczekiwać, że zarówno liczba członków Towarzystwa, jak prenumeratorów ,,Kosmosu“ powinna być znaczna, że społeczeństwo nasze w ten sposób dostarczy środków na dalsze prowadzenie pożytecznej i społecznej doniosłej pracy. Czy tak jest istotnie, odpowiedzą za mnie cyfry: biorę rok 1899, jeden z najlepszych, gdyż liczba członków Towarzystwa wyniosła w roku tym 233, gdy przeciętnie z pięciolecia 1880—1884 wynosiła 154. Otóż na 233 członków Towarzystwa, Warszawa dostarczyła 5 — wyraźnie pięciu, a całe Królestwo — trzech; prenumeratorów zaś w całem Królestwie po za Warszawą nie było a n i j e d n e g o. Cyfry te — to najjaskrawszy dowód naszej obojętności na sprawy kulturalne, najsmutniejsze ,,testimonium paupertatis“, jakie sobie wystawić możemy. Cóż dziwnego, że „Kosmos“ wobec takiego poparcia wiedzie żywot suchotniczy, że zmuszony był przed laty kilkunastu zmniejszyć swą objętość, że z braku środków niepodobna rozszerzyć zakresu działalności, np. poruszonego projektu, aby „Kosmos“ zamieszczał sprawozdania z całkowitej polskiej literatury przyrodniczej; istnienie jego ratuje tylko pewna subwencja od Sejmu krajowego, a przed fatalnymi wypadkami — subwencja od galicyjskiej kasy oszczęd. Tylko niezmordowanej energji grupy przyrodników lwowskich zawdzięczamy, że przez lat tyle potrafili o własnych siłach utrzymać poważne czasopismo naukowe i że uchronili od rozprószenia po wydawnictwach naukowych obcych liczne prace swojskich badaczów.

Smutne są dzieje ,,Kosmosu“; może jednak przyczyną braku poparcia ze strony ogółu jest nie obojętność, lecz nieświadomość.

„Książka“. *J. Lewiński.*

EDMUND LIBAŃSKI.

Z POSTĘPU TECHNIKI I WYNALAZKÓW.

Lot na maszynie.

(Konkurs dla żeglugi powietrznej — aparat Chanute'a — Lot braci Wright — aeroplan z balansem automatycznym — machina latająca — pierwszy człowiek latający na maszynie — bajeczny motor — machina Herringa. — Uprzedzenia co do „lotu człowieka“ — wieki średnie — potęga techniki — bocian a machina latająca — Europa i Ameryka — popieranie żeglugi powietrznej — Epokowe dzieło cywilizacji — tajemnica grawitacji i przyszłość.)

Postęp i współzawodnictwo na polu „żeglugi powietrznej“ wykaże niebawem szerszym kołom swe wyniki, a to podczas konkursu aeronautycznego na wystawie wszechświatowej w *Saint-Louis* w r. 1904.

Dla praktycznie użytecznej „maszyny do lotu“ (balony wykluczone) wyznaczono nagrodę 100.000 dolarów (½ miljona koron) i nie ulega wątpliwości, że popisy aeronautów i wynalazców maszyn do latania z całego świata, jeśli nie „urzeczywistnią“, to stanowczo „zbliżą urzeczywistnienie“ marzenia... o locie człowieka.

Od szeregu lat rozwija się w Ameryce gorączkowa czynność w dziedzinie praktycznego „lotu sztucznego“, która wpłynęła na zmiany poglądów co do kwestji żeglugi powietrznej.

Coraz mniej tam zwolenników *soi-disant* sterowanego balonu mimo pozornego sukcesu Saintos-Dumonta, a technika zwraca się wyłącznie do konstrukcji „machin latających“ bez balonu.

Na zasadzie (omawianego poprzednio szeregu lotów Lilienthala) osobistego lotu sztucznego, oraz latawców, osiągnęli wynalazcy amerykańscy swymi aparatami coraz lepsze, zdumiewające, rezultaty.

Żaglowy aparat inż. Octave Chanute posiadał początkowo pięć par poziomych unoszących płaszczyzn i ster, który kierował zawieszony na pasach aeronauta, obrotem i ruchami w dół lub w górę własnego ciała (na lewo, prawo, lub do góry i w dół). Przy pomocy tej machiny wykonywał Chanute nader udałe zloty (podobnie jak Lilienthal).

Ponieważ ten *aeroplan* (machina do lotu na zasadzie latawca) był za ociężały, zarzucił Chanute myśl budowy piętrowej, unoszących powierzchni i wykonał *aeroplan* dwoisty (dwie powierzchnie ponad sobą złączone lekką konstrukcją kratową).

Ulepszyli go bracia Wright...

Dolna i górna unoszące płaszczyzny lekko parabolicznie wydęte, umieszczone są w odległości 1 mtr. od siebie. Na przodzie znajduje się mała tarcza, nastawiana automatycznie przez wiatr, a sterowanie odbywa się lekko, za pomocą pomysłowo urządzonego przechylania powierzchni unoszących.

Aparat unosił się spokojnie w powietrzu wraz z żeglarzem (podczas prób), gdy wiatr dął naprzeciw, pędem 32 klm. w godzinie.

Równowaga, bezpieczeństwo, łatwość sterowania w porównaniu z aparatami Lilienthala okazały znaczny postęp, tem więcej uderzający, że utrzymanie równowagi nie zależy od ruchu korpusu żeglarza (jak u Lilienthala i Chanute), lecz odbywa się automatycznie, zapomocą obrotu małej powierzchni, na osi poziomej — prostopadłej do kierunku lotu.

Szeregi prób udały się bez zarzutu, zlot odbywał się przy wietrze o pędzie 40—48 km. w godzinie, zupełnie pewnie; nowy ster funkcjonował błyskawicznie z pełnem bezpieczeństwem, balans nie pozostawiał nic do życzenia.

Zachęceni powodzeniem zbudowali wynalazcy obecnie nowy aeroplan o powierzchni wynoszącej 308 kwadratowych stóp i żeglowano, unosząc się prawie na wysokości miejsca zlotu, zlatując powolnie i bezpiecznie ku ziemi.

Fachowe pisma aeronautyczne podnoszą znaczenie tych prób, albowiem okazało się, że opór w pędzie naprzód, wynosił zaledwo ¹/₇ wagi, całego aeroplanu; zaś powierzchnie unoszące, odchylone były na 20° w górę od poziomu.

(D. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *„Rapsody napoleońskie“*, przez Wacława Gąsiorowskiego. Lwów 1903, nakładem księgarni B. Połonieckiego. — W belletrystyce polskiej najnowszej zajął p. Wacław Gąsiorowski jedno z miejsc wybitniejszych, przedarł się bardzo szybko z szarzyzny literackiej na wyżyny, gdzie jaśnieje prawdziwy talent i artyzm. Czytająca publiczność, której sąd, na ogół biorąc, jest zwykle trafny, uznała nowo wschodzącą gwiazdę literacką i jej talent w sposób, który p. Gąsiorowskiemu nie może nasunąć żadnego żalu na temat nieuznanych zdolności. Każda bowiem powieść jego świeżo wyszła z druku jest szeroko omawianą i nie przechodzi bez mniej lub więcej głębokiego wrażenia.

Szukając tajemnicy tego niezwykłego powodzenia, natrafia się odrazu na dwie rzeczy: Pierwszą jest rzeczywiście wielki talent powieściopisarski. Powieści p. Gąsiorowskiego mają przedewszystkiem żwawą i jędrną akcję, bystrość w podglądaniu zjawisk życiowych i chwytaniu ich, że tak powiem, na gorącym uczynku i to nie w formie traktatów psychologicznych mniej lub więcej interesujących, ale w kształcie żywym, tak jak one są ucieleśnione i chodzą po świecie. Stąd też powieści jego drgają pełnią ruchu i życia, a przyobleczone w misterne szaty słowa, którem p. Gąsiorowski włada silnie, duchem artysty natchnione, wychodzą jako całości piękne i powabne. — Drugą rzeczą, tłumaczącą powodzenie p. Gąsiorowskiego jest główny temat jego największych i najlepszych powieści, to jest wojny napoleońskie i epoka polskich legionów, a w ogóle koniec ośmnastego i początek dziewiętnastego stulecia. Epoka z powodu dziwnej jakiejś i dopiero w ostatnich czasach ustępującej niechęci historyków naszych do dziejów porozbiorowych Polski — nie bardzo znana szerokim sferom, a jednak skrząca całą mocą naszego poświęcenia i czynów takich przemożnych, że ich nawet w starych epopejach nie szukać, nawet u Ariostowych rycerzy. — U publiczności, zostającej jeszcze zresztą pod wpływem trylogji Sienkiewicza, ta nowa napoleońska, a tragiczna epopeja otwiera nowe światy, szerokie i niezmierzone jak dzieje tych błędnych rycerzy, co po całym świecie nieśli ból upadku i tęsknicę odrodzenia. Że dzieje te, do tego jeszcze w opowiadaniu p. Gąsiorowskiego w błyskach jego barwnej fantazji zdolne są czytelników entuzjazmować, tego chyba mówić nie trzeba.

Z tego źródła wyszły też „Rapsody napoleońskie“, najnowsza praca p. Gąsiorowskiego.

Na dalekich horyzontach rozgrywają się wiekopomne zdarzenia, które historja w pamięci swojej na zawsze zapisze. Ale autorowi o ich opis nie chodzi. On je w kilku słowach rozpali, niby szerokie, łuną daleką krwawiące ognie, a w tem świetle — wyszuka drobny czyn, małą grupkę ludzi, na której całą ześrodkuje uwagę, rzuci na nich jeden tylko, ale jaskrawy snop płomieni z owej łuny dalekiej i na tem koniec. — Za to też wrażenie takiej „Jednej nocy historji“ lub „Tak oni umierali“, jest poprostu gwałtowne i tem gwałtowniejsze, im prostszych użył autor środków techniki pisarskiej.

Jednego tylko żal, a mianowicie, że p. Gąsiorowski tak jakby musiał koniecznie włożyć w każdy utwór trochę osobistych, a ściśle partyjno-politycznych zapatrywań. Żal tem bardziej uzasadniony, że takie poglądy polityczne, nastręczają zawsze sposobność do polemiki zwłaszcza, gdy nie cieszą się wcale uznaniem u polskiego społeczeństwa. — W ten sposób dzieła rzeczywistej wartości artystycznej nabierają zupełnie nie potrzebnie tendencyjnego zabarwienia. Rapsody napoleońskie czynią miejscami wrażenie, jakby autor wykazać chciał bezsensowość i głupotę poświęcenia naszych żołnierzy. Czy lepiej się było poświęcać, czy też bezpośrednio po upadku siedzieć cicho i pracować „organicznie“ na rzecz wrogów, to dopiero kwestja i to kwestja... przez społeczeństwo, czczące tamtych ludzi, jako bohaterów narodowych — już przesądzona. *Fr. Jaw.*

SZTUKA. *Kopie unikatów.* W myśl uchwał miejskiej komisji archiwalnej i regulaminu archiwum miejskiego rozpoczął obecnie dr. Czołowski dalsze kompletowanie zbiorów tamtejszych przez sporządzanie kopji z historycznych obrazów, odnoszących się do dziejów Lwowa, a których nabycie na własność jest niemożliwe. Kopje te maluje artysta malarz i prof. szkoły przemysłowej p. Kühn, znakomity restaurator starych malowideł. W tych dniach wykończył p. Kühn kopię portretu Koberweina burmistrza miasta w r. 1809, według oryginału znajdującego się w zbiorach p. Kazimierza Pepłowskiego. — W roku bieżącym sporządzone zostaną w dalszym ciągu kopie następujących obrazów: widok Lwowa z r. 1672 i widok Wysokiego Zamku w XVII w. (według oryginału w kościele Bernardynów), portrety rajcy Kupińskiego z żoną i Szymona Zimorowicza (według oryginałów w bibljotece Ossolińskich), portret mieszczanina Januszki (oryginał w katedrze łacińskiej), a wreszcie portrety mieszczan lwowskich z końca XVII i początku XVIII w.: Krasowskiego, Papary, Eliasiewicza, Zdanowicza i Langiszówny (według oryginałów w Stauropigji). Sposób ten zastępywania oryginałów, których nie można nabyć, przez odpowiednie, a bardzo dokładne kopje praktykowany jest we wszystkich miastach, stanowiąc jedyny środek do skompletowania zbiorów, odnoszących się do pewnej całości historycznej.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.